№ 4.

Warszawa, dnia 23 Stycznia. 1864 r.

TYGODNIK MÓD

NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. w Warszawie *kwartalnie* złp, 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).— **W Cesarstwie i Królestwie,** z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.— —**Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki,** prosimy adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

WYPRAWY WOJENNE SOBIESKIEGO

PRZED KORONACJĄ.

(Dokończenie)

Oblężenie Lwowa.

Kiedy wszystkie siły tureckie wzięły w pochodzie kierunek ku Lwowowi, Jan tymczasem czynny całą swą duszą, w ciągłym był ruchu pomiędzy swemi oddziałami Lwowem, i Warszawą. W wojsku bowiem chciał podnieść ducha, i zajęciem się osobistém nadać mu hart i wytrwałość, od kraju zaś pragnął wyjednać posiłki odpowiednie niebezpieczeństwu. Ale naród pogrążony w rozpaczy wiadomościami o przygotowaniach tureckich, nie miał już siły ani woli, do ożywienia zmartwiałego męztwa. Lud wiejski odsunięty od wszelkich praw obywatelskich, pozostał obojętny na zmianę władzy, która nad nim miała panować. Niszczony zarówno przez swoich, jak przez nieprzyjaciół, pragnął jedynie pokoju, nie wdając się w żadne rozumowania polityczne, do których nie był przyzwyczajony. Szlachta zaś myślała o obronie swych zamków i dworów przed napaścią włóczących się zbiegów wojskowych, którzy razem z Pacem opuścili króla. Słowem nikt w kraju nie myślał o obronie granic, zajmując się własném bezpieczeństwem, i każdy powtarzał:

— „Wszystko zginęło, i cóż pomożemy przeciw tak strasznéj mocy Turków? Widać, że Bóg się na nas zagniewał, niechże więc spełni się, co Opatrzność postanowiła.”

Inni zaś mając wiarę w genjusz Sobieskiego, krzepili się wątłą nadzieją wybawienia, mówiąc:

— „Niebezpieczeństwo wielkie, ale Jan Sobieski jest tam, i on nas przy pomocy Boskiéj obronić potrafi.“

Wszyscy zaś w niemęj rozpaczy, oddawali przyszłość kraju na wolę Opatrzności, niezdolni ani do myślenia ani tymbardziéj do działania. Siły zaś Sobieskiego wynosiły zaledwie dziesięć tysięcy, reszta rozproszoną była po zamkach i fortecach. Upokorzony Pac z żalem i skruchą przybył pra-

wie sam do obozu, bo wojsko jego odciągnięte w roku zeszłym od króla, i zbeszczeszczone przez uniwersały, jakoby umyślnie wypędzone, rozpierzchło się po całym kraju, i w bandach rzuciło się na zabór i rabunek. Tak więc Pac jak narzedzie Austrji dokonał tego, czego tak gorąco pragnęła; Polska została prawie bezbronną, i wewnątrz zawichrzoną włóczącemi się bandami zbiegów. Jednak Sapieha i Radziwiłł zdołali zgromadzić kilka tysięcy żołnierzy w Litwie, i z temi spieszyli dla połączenia się z królem. Ale cóż znaczyły tak małe gromadki wojska w obec przerażającéj potęgi ottomańskiéj? Sama przednia straż pogan składała się z 40,000, która pod sułtanem Nuraddynem podszedłszy pod Lwów natychmiast zajęła się spaleniem przedmieść. Za nim postępował sam Seraskier Szyszman Ibrahim pasza, na czele licznego korpusu, i codziennie wyglądano jego przybycia. Jan straciwszy nadzieję ocucenia narodu z moralnéj niemocy, postanowił działać temi siłami, jakie miał pod ręką. Zabrał więc najukochańszą swą Marysieńkę z dziećmi, żeby razem podzieliła z nim los, jaki Bóg przeznaczy, i stanął we Lwowie, umyślnie kazawszy się powitać wystrzałami armatniemi całéj artylerji, aby nieprzyjaciel wiedział, gdzie ma szukać króla polskiego. I na Lwów zwróciły się oczy całéj Polski i Europy, przeczuwającéj stanowcze zwycięztwo poganizmu, nad dotychczasowém przedmurzem chrześcijaństwa. O pomocy jednak nikt nie pomyślał, a nawet Austrya zostająca w wojnie z Francją, cieszyła się skrycie, że spodziewane zwycięztwo Turków na długo zatrzyma ich w granicach Rzeczypospolitéj, a tém samém uwolni ją od obawy napaści barbarzyńców na jéj posiadłości. Francja zaś przeiwnie, pragnąc jak najprędszego ukończenia wojny z Turcją, aby módz jeżeli nie zepchnąć ją na kark Austryi, to przynajmniéj napaść zrobić niespodziewaną, i tym sposobem znaczne jéj siły z placu boju odciągnąć ku granicy tureckiéj, rozkazała swemu posłowi biskupowi marsylskiemu, aby w wyprawie téj towarzyszył królowi Polskiemu i działał w przyszłych układach na korzyść Rzeczypospolitéj. Tak więc dwa dwory arcy-katolicki i arcy-chrześcijański zupełnie nie po chrześcjańsku walczyły z sobą nawzajem.

Z przybyciem Sobieskiego w mury Lwowa każdy uczuł nowe w sobie życie, a załoga, która według relacji posła francuzkiego, zaledwie wynosiła pięć tysięcy, nabrała ducha pewna zwycięztwa, Jana widząc swoim odzem. Pierwsze dnie zeszły na przygotowaniach do oblężnnia. Nurradyn zaś z przednią strażą nie zaczynał boju, czekając na nadciągnięcie głównego korpusu z Seraskierem.

W kilka dni potém, wieczorną porą, na ciemném tle nieba pokazały się pasy płomieniste, świecące odblaskiem dalekiéj łuny. Był to znak zbliżania się samego Seraskiera, który w pochodzie równał wszystko z ziemią, a wsie i miasta niszczył ogniem i obracał w perzynę. Załoga podwoiła baczność, Sobieski nie opuszczał stanowiska obranego dla rozpoznawania obrotów nieprzyjacielskich, gdy zdaleka ujrzano pierwsze szeregi pogan, król z żoną, z dziećmi i mnogim ludem udał się do kościoła Jezuitów i u stóp cudownego obrazu z błogosławionym Stanisławem Kostką, błagał Boga o ocalenie. O godzinie czwartéj po południu, hordy tureckie zaczęły rozbijać namioty w obecności wojska polskiego. Król postanowił napaść pierwszy na nieprzygotowanych do bitwy nieprzyjaciół, czując że wystąpienie takie śmiałe wojsku jego doda otuchy, a Turków zmiesza i przestraszy.

O ćwierć mili od miasta, wojsko polskie rozłożone w małéj dolinie, opierało się o górę obsadzoną artylerją; że zaś każde zagięcie ukrywało zasadzkę i reduty ze wszech stron łączyły obóz z fortyfikacjami Lwowa, przystęp dla licznego wojska tureckiego prawie był niepodobny. Dla pozornego zaś chociaż powiększenia sił swoich w oczach nieprzyjaciół król na wzgórzach i winnicach rozstawił proporce ussarzy, z chorągiewkami jaskrawéj barwy, a szlachcie polecił bić się na szable i pistolety.

Kiedy więc Turcy dumni swą liczbą, którą najmniéj na 150,000 obliczano, zajęli się stawianiem namiotów, Sobieski przyjrzawszy się im dobrze, pobłogosławił wojsko jako król i ojciec i dał znak do ataku. Ozwały się więc wojenne trąby, jazda szparkim rumakom popuściła cugli, błysnęła dobytemi szablami, i z okrzykiem: Żyje Jezus!! rzuciła się na środek obozu nieprzyjacielskiego. Jednocześnie od strony obozu polskiego, zawył silny niezmiernie uragan wietrzny, niebo jakby w poparciu zastępów polskich, w niém jedyną pokładającychnadzieję, przyćmiło się na malutką chwilkę i potém sypnęło tak silnym gradem pomięszanym ze śniegiem, że ten wichurą pędzony w same oczy napadniętych nieprzyjaciół, rzucił popłoch pomiędzy nich i popsuł porządek. Wprędce jednak wrócili do przytomności; jazda polska zaczęła się cofać, ale czujny Sobieski wszędzie obecny, gdzie tylko radą, mową lub orężem mógł działać, poskoczył ku cofającéj się jeździe wołając:

— „Naprzód bracia! musiemy albo umrzéć albo zwyciężyć! Nie zapominajcie, że król tu, a tam królowa z jego dziećmi. Naprzód w imię Boże!”

Wzniósł się więc na nowo okrzyk: Żyje Jezus!! waleczna jazda porwała się jak stado ptastwa, za-

huczała ziemia pod kopytami biegnących rumaków, i wojacy, jak burza spadli na karki pohańców. Sobieski wszędzie pierwszy walczył jak wódz i prosty żołnierz. Nadaremnie Lubomirski, Pac, hr. de Maligny, Michał Radziwił, starali się go w zapale powstrzymać lub mu dorównać, Sobieski nigdzie nie dał się uprzedzić; przebiegał szeregi, naciskanych wzmacniał, trwożliwszych ośmielał do nowego boju, szeregi łamał, rozbijał, wydawał rozkazy, tu spadał jak piorun, tam rozważał, tu ciął mieczem, tam słowem pokrzepiał, i nie szczędząc siebie uczył własnym przykładem, jak należy za kraj walczyć i poświęcać się. Tuż przy Sobieskim jak cień jego znajdował się ciągle poseł Francji, biskup marsylski; podziwiając bohatera, który nigdy się jeszcze nie okazał w takiéj sławie i wielkości. Smiały kapłan na krok go nie odstępując stracił dwa pod sobą konie, ale za to szczegółowy i dokładny przesłał opis bitwy swojemu władcy.

Turcy napadnięci tak znienacka, a nie myśląc nawet, aby Polacy szczupli w liczbie mogli pierwsi wystąpić do boju, rażeni z przodu szablami wojaków chrześcijańskich, z boków celnemi gromami dział rozstawionych na wzgórzach, mając przytém zasypywane oczy gradem i śniegiem wściekle miotającego się wichru, pomimo cudów waleczności samego Nuraddyna, nie mogli się oprzéć dzielności natarcia, i padając tłumami, coraz bardziéj rozprzęgając się w porządku, z nadejściem zmierzchu poszli w rozsypkę, tak nagłą i rozpaczliwą, że ze świtem u podnóża Lwowa tylko walały się kupy trupów i szczątki z obozu tureckiego, a sami poganie w bezludnych chmarach o mil juz cztery zapychali drogę w haniebnéj ucieczce. Ale i tam doganiał ich oręż niezmordowanych obrońców krzyża, a wodzowie polscy szli na wyścigi, aby z wieczystéj chwały swego króla i wodza, uszczknąć choć promyk blasku zasługi, którym otoczył swoje bohaterskie czoło.

Polska więc znowu odżyła, a Europa na odgsos zwycięztwa tak niepraktykowanego w dziejach świata, nie myśląc nawet, aby genjusz jednego człowieka, mógł zastąpić liczbę, jednozgodnie zawołało, że Bóg pod Lwowem zdziałał cud, i mieczem Sobieskiego obroniwszy Polskę, ocalił z nią całe chrześcijaństwo. Owczesna gazeta francuzka donosząc o tym zdumiewającym czynie, tak się wyraziła.

Kto w potomności czytać będzie w historji, o kampanjach terazniejszego roku, nie potrafi sobie wyobrazić, żeby król pozbawiony wszelkiéj pomocy, którego całą fortunę składały własna roztropność i własne męztwo, ośmielił się rozłożyć obozem z czterema do pięciu najwyżéj tysiącami żołnierzy o pięć mil od 150,000 turków i tatarów, żeby szczęśliwie nie dopuszczał im w ciągu sześciu tygodni uderzyć na swoje forpoczty, żeby nareszcie nieprzyjaciół tyle potężnych, zwyciężył przedziwném zachowaniem się, zmuszając niewiernych do tak nagłéj ucieczki, że w ciągu jednéj nocy, w odwrocie więcéj uszli drogi, niżeli przez dni trzy, gdy nadciągali do walczenia z królem Jegomością. Bóg jawnie okazał, iż sam jest obroną tego wału chrześcijaństwa. W tym wielkim dniu, który tak pięknie przedłuża pasmo świetnych czynów króla Jegomości, przekonano się jeszcze bardziéj, że Polska nie mogła godniejszego monarchy osadzić na tronie swojém.

Radość gazety francuzkiéj zostającéj pod wpływem Ludwika XIV, jéj pochwały były szczere, bo tryumf Sobieskiego, był tryumfem króla Ludwika, a klęska Turków, klęską Austrji zmuszonéj do bacznosci i czuwania w stronie, w któréj dotąd była spokojną.

Pomimo jednak popłochu band muzułmańskich, Seraskier zajął się urządzeniem na nowo wojska, z postanowieniem rozpoczęcia drugiej kampanji zdobyciem Lwowa i następnie wyruszenia do Warszawy. Zebrawszy zatém rozproszonych żołnierzy, zawsze stanowiących potężną armję, zajął warowne Podhajce, zamek Zawale, i zrównawszy je z ziemią wyruszył na Trembowlę, warownię u granice Podola, bronioną przez stu tylko żołnierzy i szlachtę okoliczną, pod dowództwem pułkownika Samuela Chrzanowskiego. Gdy namowa do zdrady i pogróżki odrzucone zostały przez dzielnego obrońcę, rozpoczęło się straszliwe bombardowanie; wrzucono pięć tysięcy bomb szerzących zniszczenie i pożar, zburzono wodociągi; oblężonym brakło wody, żywności i amunicji; mina podsadzona pod skałę zrobiła wyłom, a Turcy po próbowanym cztery razy szturmie, ładowali się do piątego i zapewne ostatecznego. Szlachta zebrana w Trembowli, postanowiła poddać się. Chrzanowska wysłuchala ich, doniosła o tém mężowi i namową, groźbą wróciła wszystko do porządku.

Tymczasem Jan niezważając na liczne hordy barbarzyńców, krążące wszędzie jak stada dzikiego ptastwa, posuwał się ku Trębowli, chcąc ją koniecznie ochronić od losu Podhajec i Zawala. Szczupłe wojsko prowadził ciągle w szyku bojowym, gotowym do odparcia i napaści, i znosząc oddziały tureckie plondrujące po okolicy, jak tylko dotarł na mil ośm od fortecy, kazał bić z dział dwudziestu ustawionych na wzgórzach, aby huk niesiony wiatrem, zaniósł wiadomość oblężonym o ciągnącéj im odsieczy. Następnie kazał się przygotować do bitwy, którą postanowił stoczyć w sa-

mym srodku obozu Seraskiera, a choć dowodzcy błagali ze łzami na kolanach, żeby oszczędzał swoją osobę, do któréj przywiązane były losy całego kraju i pozwolił im bitwę poprowadzić, Sobieski odrzucił prośby mówiąc:

— „Ocalenie Trębowli, to ocalenie Rzeczypospolitéj, nic mi po życiu, gdy kraj pójdzie w niewolą."

Wyprawił więc posłańca do Chrzanowskiego z wiadomością o swém przybyciu, i że wkrótce z tyłu uderzy na Turków.

Tymczasem poganie piąty szturm przypuścili; oblężeni w niedostatku pocisków używali nieprzyjacielskich kul, jakiemi całe ich szczupłe schronienie było zasypane. Turcy odparci zostali, a gdy schwytawszy posłańca królewskiego, dowiedzieli się, że sam Sobieski nadciąga, tak wielkim przejęci zostali strachem, że porzuciwszy już prawie zdobytą fortecę: wyruszyli w marsz, minęli warowny Kamieniec w ich zostający ręku, i idąc dniem i nocą przeprawili się za Dniestr, podążając całą siłą ku Dunajowi. Za uciekającym nieprzyjacielem tuż postępowały hufce polskie, ale lękając się, aby ich nie poprowadzono za granicę kraju, mosty zostawione przez Seraskiera popalili, i król musiał zaprzestać pogoni; wysłał tylko na Multany i Wołoszczyznę pułki kozackie.

Poganie ustępowali wszędzie, banda po bandzie rozbijana szerzyła popłoch, a czego nie dokonał oręż polski, tam groźne imię Sobieskiego zastępowało wszystko. Odojewski pod Grodeckiem wpadł w ręce hana Tatarów i naturalnie miał się za zgubionego. Gdy przy badaniu oswiadczył, że należe do ekskorty króla postępującego na czele ussarskich choragwi han aż zmienił się z przerażenia i tracąc prsytomność rzucił się w ucieczkę ku Dunajowi, za nim poszli Tatarzy, a Odojewski wrócił do swoich.

Tak więc nieprzyjaciel do końca Października został na wszystkich punktach pobity, rozgromiony i przegnany strachem i mieczem polskim aż za Dunaj. Polska raz jeszcze oswobodzona, napełniła się okrzykami radości i uwielbienia, i wyprawiła ze wszystkich stron deputowanych do oswobodziciela Rzeczypospolitéj, aby idąc żółwim krokiem ku tronowi, a lotem orła ku zwycięztwu, przybył nareszcie wziąść koronę, na którą tyle razy zasłużył.

Jan pragnąc, aby koronacja odbyła się zimową porą, żeby przez to wcześniéj udać się mógł z wiosną ku granicy, przyśpieszył tak niespodziewanie termin koronacji, że wielu posłów rozmaitych dworów europejskich w połowie drogi dowiedzieli się o ukończonym obrzędzie, na który dążyli. Zmartwili się więc tém bardzo, bo Sobieski na takim stopniu wielkości postawił Polskę, że wszystkie mocarstwa ubiegali się o przymierze z nią, a monarchowie pragnęli króla polskiego mieć sądzi, swoich sporów i rozjemcą nieporozumień. Sejmiki zwołane dla wyboru posłów na sejm koronacyjny, pierwszy raz od lat wielu przechodziły spokojnie. Koronacja z wielką uroczystością odbyła się w Krakowie d. 2 Lutego 1676, w przeddzień któréj pogrzebano zwłoki Jana Kazimierza i Michała Korybuta.

KORRESPONDENCJA Z PARYŻA.

Po raz czwarty czy piąty zwiedzam już stolicę Francji, za każdym jednak razem przy wjeździe odmiennego doświadczam wrażenia. Teraz naprzykład Paryż przedstawił mi się w dziwnym stroju. Wjeżdżałam zrana, od dworn kolei strasburgskiéj, przybliżając się ku bulwarom, spostrzegłam szeroko rozpostarte zwaliska, podobne do tych o których czytałam nie raz w opisach starożytnych Teb lub Palmiry. Przetarłam oczy, niepewna czy to sen, czy mara, kiedy towarzysz podróży, który siedział przy mnie w omnibusie, odgadując zdziwienie moje, jął opowiadać, iż domy te zwalono umyślnie. Cesarz bowiem kazał w tém miejscu przerznąć nowy bulwar, w celu odświeżenia zbyt ścieśnionego powietrza, a więcéj może w celu dostarczenia zarobku robotnikom. Niejeden już taki bulwar przybył za rządów Napoleona III, bo jak Napoleon I budował mosty na Sekwanie uwieczniając w ich nazwach pamięć świetnych zwycięztw, jak swiadczy Pont d'Arcole, d'Austerlitz, de Marengo, d'Jena, etc. tak następca jego przecina wspaniałe bulwary, których nazwiska Sebastopol, Magenta i t. d. przypominają świetne karty dziejów, zapisane w ostatnich czasach krwią francuzką.

Przemyślając, jak się też zwać będzie nowy bulwar, utworzony na gruzach zburzonych domów, wjechałam na plac Vendôme, gdzie nowa uderzyła mnie zmiana. Przed niedawnym czasem, zdjęto z kolumny Vendôme posąg Napoleona I, w kapocie i tradycyjnym trójgraniastym kapeluszu, a umieszczono posąg przybrany w togę rzymską z wieńcem bluszczowym na skroni, w starożytnych koturnach; grzeczny mój sąsiad, nieskąpy w słowa, jak to zwyczajnie Francuz, widząc, że go słucham z zajęciem, począł mi opowiadać, jak pięćdziesiąt lat temu, postawiono podobny posąg na

téjże saméj kolumnie, którą Napoleon I, kazał wznieść ku uczczeniu wielkiéj armji po zwycięztwach w 1805 roku: jak sprzymierzeńcy wszedłszy do Paryża, kazali go zdjąć z piedestalu: a w miejsce jego zatknęli olbrzymią lilję, niefortunne godło Burbonów, jak znów po dniach lipcowych kiedy pamięć Napoleona odżyła w sercach francuzkich, z armat zdobytych w Algierze ulano posąg w kapocie i kapeluszu, i wzniesiono go na szczycie kolumny, gdzie przetrwał lat trzydzieści; jak nareszcie Cesarz Napoleon III, chcąc uczcić pamięć wielkiego stryja swego, rozkazał odlać klasyczny posąg, podobny do pierwszego, strąconego zuchwałą ręką sprzymierzonych. Dawny posąg umieszczono blisko rogatek na drodze wiodącéj do Courbevoie.

Nazajutrz po przyjeździe, kiedym wyszła na bulwary, nowego doznałam zdziwienia na widok przybranych jaskrawo Paryżanek. Przed kilkoma laty, żywe kolory wyłącznie używane w domu, uchodziły za niewłaściwe zupełnie na ulicę, gdzie kobieta przyzwoita, ukazywała się zwykle w szaréj lub czarnéj sukni, nie chcąc zwracać uwagi na siebie. Dziś zmienił się obyczaj. Nierzadko się zdarza widzieć, młodą i niemłodą panią w sukni lub okrywce pąsowéj, w kapeluszu z purpurowemi piórami. Do najmodniejszych kolorów należy tu także ananasowy, a jeden stopień niższy od pomarańczowego, bynajmniéj nie miły dla oka.

Dziwno mi było patrzéć na wspaniałe wystawy tutejszych sklepów, na te perły, brylanty i drogie kamienie, od których wzrok mój tak odwyknął, na te kosztowne koronki, nietylko na sukniach i mantylach, ale nawet u koszul i podwłośników rannych. Gdyby to jeszcze same kobiety dopuszczały się podobnych zbytków w strojach! ale któżby uwierzył, że na wystawie przed magazynem z gotową bielizną, widziałam koszule męzkie haftowane złotem, których tuzin naznaczony był 3,000 fr. Z równą odrazą patrzałam na wystawę słynnych restauracyj, przed któremi oko spotyka płody wszystkich sfer kuli ziemskiéj; najrzadsze ryby, ptaki i owoce, słowem wszystko, co żyje w powietrza, na ziemi i pod ziemią. Odwróciłam oczy z niesmakiem w obec tych świątyń zbytku, w których tysiące ludzi trwoni lekkomyślnie pieniądz, gdy innym nie dostaje marnego kęsa chleba! Wymowny obraz téj sprzeczności uderzył mnie, gdym z bulwarów weszła do kościoła *l'Assomption.* Na uboczu siedział tam człowiek, dosyć porządnie ubrany; podczas mszy zbladł i począł drżeć jak listek, zanim to spostrzegłam, dwie młode rodaczki moje, obecne także w kościele, poskoczyły ku niemu i trzeźwiły jak mogły w pół-omdlałego. Otworzywszy oczy, biedny człowiek wyznał przed niemi, że od trzech dni nie miał nic w ustach. Jedna z panienek wybiegła natychmiast na ulicę i wróciła po chwili, niosąc w ręku parę bułek i butelkę wina. Z jakąż chciwością biedak rzucił się do jedzenia! w mgnieniu oka połknął wszystko, a w miarę jak jadł, wyżółkła twarz jego przychodziła do zwykłéj cery. Wszyscy obecni na mszy, przejęci tym widokiem, wsunęli mu w rękę jałmużnę, którą on przyjmował z nieśmiałością, nie przywykły jak widać do żebrania.

Przejdźmy teraz do weselszego nieco przedmiotu; nastręcza mi go prelekcya pana Loménie w *Collège de France,* na któréj byłam kilkakrotnie obecną. Uczony professor wykłada historyą oświaty, wziąwszy za przedmiot wpływ salonów na rozbudzenie literatury francuzkiéj w XVII wieku. Dowodzi on, że dopóki damy francuzkie ukrywały się w feudalnych swych zamkach, rozrzuconych po kraju, dopóty literatura kryła się w zaciszach klasztornych, i dopiero kiedy zajaśniały pierwsze salony paryzkie, literatura wystąpiła z ukrycia. Pod natchnieniem więc uroczych Paryżanek, miała powstać plejada poetów i pisarzy, która uświetniła epokę Ludwika XIV. Uczony mówca bardzo zręcznie naciągał wypadki do założenia swego, obecni mniéj więcéj przekonani, słuchali go z widocznem zadowoleniem. Co do mnie, zapytywałam w duchu sama siebie, kto też dał popęd naszéj literaturze w złotych fazach Zygmuntowskiéj epoki? Zaprawdę, nie polskie niewiasty! Ówczesna królowa Bona, zanadto była zajęta intrygami dworskiemi, aby zachęcać uczonych i poetów, a zacne prababki nasze, które tak święcie strzegły wiary i obyczajów przy domowém ognisku, które umiały wychowywać bohaterów i szczepiły w ich serca miłość kraju, ledwie że czytać umiały za czasów Kochanowskiego, Klonowicza i Skargi. Literatura polska kwitła jednak i po włoskiéj, piastowała palmę pierwszeństwa.

Za Stanisława Augusta, pojawiły się w Warszawie salony i po chwilowém uspieniu, ocknęła się znów ojczysta literatura, lecz ktokolwiek zna choć trochę przeszłość naszą, ten wie, że wytworne ówczesne *szarmantki* (gdyż tak je nazwano) nie przyczyniły się w niczém do owego rozkwitu. Niech więc uczony Francuz prawi co chce, nie przekona mnie nigdy, aby literatura rozwinąć się mogła kiedykolwiek przy świetle lamp salonowych, pod tarczą wachlarza modnéj damy. Literatura wypływa z ducha narodu; jéj potrzeba rosy i słońca, pracy i skupienia, a zwłaszcza miłości i wiary!

W nich dopiero skąpana, może zajaśnieć prawdziwym blaskiem i wydać nieśmiertelne owoce.

S. P.

ALEKSANDROWI K*

Odpowiedź na „*Nasze strony.*"

Bracie po lutni, znasz-li te strony,
Kędy ci śpiewa pieśń bór zielony?
Gdzie szumią fale złoconych kłosów;
Gdzie nieprzejrzane tonie niebiosów
W bielutkie wianki chmur ustrojone,
Takie spokojne i wygładzone,
Jako oblicze dzieciny małéj,
Gdy sobie marzy w kolebce białéj?...

* * *

Znasz-li te strony w naszéj krainie,
Gdzie modra Warta swawolnie płynie,
W takie urocze szaty ubrana,
Jakich miłosna nie ma Goplana?
Z wdzięcznym uśmiechem kwiatki nadbrzeżne
Liśćmi trącają jéj łono śnieżne,
Lub zadumane patrzą w jéj lica
Oblane bladem światłem księżyca.

* * *

Czyś kiedy zstąpił z słowem pociechy,
Pod dach słomianéj, wieśniaczéj strzechy?
Czyliś to serce ciche, lękliwe,
Jak biały gołąb' spokojne, tkliwe,
Zdołał roztworzyć?... Prawdy w niém skryte,
Twórczą natnry dłonią wyryte,
Tylko w tém sercu zdolne rozkwitać...
Czyliś wyczytał—lub chciał wyczytać?...

* * *

Nie—nie! tyś swoje oblicze blade
Zwrócił na młodą, piękną Helladę,
Na wiotkie nimfy w czarownych zgięciach.
I toniesz smutny w miękkich objęciach...
A gdy ci staną w poważnéj szacie
Starego Rzymu twarde postacie;
Toś cały trwożny, czy duch Hellady
Zdradą nie skarze pokusy zdrady?...

* * *

Cofnij się — cofnij! Patrz — nasze łany
Rycerskich kości pełne kurchany
Zdobią wieńcami, jakby koroną
Wspomnień, w wiosenny kwiat ubarwioną;
Tu w miejsce faunów grupy skrzydlatéj,
Stanie ci w myśli hetman brodaty,
I hufiec mężnych z grobów wywiedzie,
I rdzawą szablą błyśnie na przedzie!

* * *

Ci mężni, tobie, młody pieśniarzu,
Więcéj o dawnych czasach wygwarzą,
Niż stary rapsod z harfą spróchniałą...
Jedna piosenka nutą zbolałą
Którą stęsknione dziewcze wyśpiewa,
Rzewniejszém ciepłem serce ogrzewa,
I milsze w duszy obrazy roi,
Niż pieśń śpiewaka nieszczęsnéj Troi!

1864 r. *Adam Maszewski.*

Paryż, d. 16 Stycznia.

Sprawozdanie dzisiejsze poświęcimy prawie wyłącznie ubraniu głowy. w którém Paryżanki tak celują. — W układzie włosów nie ma tu mody panującéj, nadzwyczajną też widzimy rozmaitość w tym względzie. Podniesione w górę nioby, noszą tylko osoby z niskiem czołem, mocno zarośniętem na skroniach. Wiele widziéć można także krótkich niobów, karbowanych lub gładkich. Za niémi dodają najczęściéj po dwa loki tapirowane i przezroczyste, przystające mocno do skroni. Starsze osoby noszą pojedyncze loki, dosyć wielkie, które z siwych nawet włosów bardzo ładnie wyglądają. W ogólności Francuzki siwieją wcześnie i nie wstydzą się wcale tego; mało też widziéć tu można przyprawnych *turów* i *peruczek*, które tylko w razie zupełnego braku włosów usprawiedliwić można. Długie nioby spadające na skronie, karbowane lub gładkie, często się także widziéć dają. Z warkocza układają wielkie koki, rozchodzące się na dwie strony, przepięte w środku grzebieniem, z klapką szyldkretową, która spada na tył i pokrywa przestrzeń pomiędzy kokami. W ogólności, koki nie tak bywają nisko opuszczone jak w roku zeszłym; do większego ubrania podnoszą je nawet w górę, lecz ta moda nie upowszechniła się dotąd.

Kapelusze tegoroczne nierównie niższe od dawniejszych, najczęściéj nawet bywają wgięte na środku czoła. Do mniejszego ubrania, noszą atłasowe pikowane, okładane pluszem czarnym lub fijołkowym.

Z pomiędzy strojniejszych, podobał nam się bardzo czarny aksamitny, cały przymarszczany. Główkę miał z białéj illuzyi, namarszczoną w drobne bufki, na którą spadały liście aksamitne czarne; podpięcie składało się z blondynki i fijołków aksamitnych nad czołem. Szarfy aksamitne fijołkowe dopełniały ubrania.

Inny kapelusz także aksamitny, obłożony był w koło ronda białym puszkiem. Podpięcie z bratków i blondynki, ładnie dopełniało całości.

Dla młodéj panienki zwróciła uwagę naszą kapotka atłasowa czarna, przymarszczana w drobne rurki. Bukiecik z fijołków przypięty zręcznie z boku, stanowił całą jéj ozdobę.

Uważaliśmy takze ładną kapotkę, czarna atłasową, przepinana w równych odstępach, z fijołkowemi aksamitnemi plisami. Główkę zdobiła fijołkowa kokarda, spadająca długo na karczek. Podpięcie składało się z blondynki i węzła aksamitnego w pośrodku.

W czepeczkach i ubiorkach tę samą widzimy zmianę jak i w kapeluszach, to jest, że są znacznie spłaszczone nad czołem. Najmodniejsze ubiorki składają się z rulonu aksamitnego, otaczającego głowę. Z przodu wpięta płaska kokarda aksamitna. Na wierzch zarzucony mały woalik kwadratowy czarny, długi przeszło na pół łokcia, szeroki na półtory ćwierci, ogarnirowany w koło koronką. Woalik ten wpina się nad czołem w taki sposób, że garnirunek od niego. zachodzi pomiędzy kokardę i rozdziela ją przez środek.

Takie ubiorki należą do najświeższych—widzieliśmy je także z białéj gipiury i koronki brukselskiéj, przybrane zawsze płaską aksamitną kokardą po nad czołem.

W tych dniach ukazały się nowego rodzaju biżuterye z aksamitu, zwane *bijoux velours*. Widzieliśmy takie kolczyki, złożone z trzech pierścieni przewleczonych przez siebie, lub z trzech gałek spadających jedna z pod drugiéj. Broszka powleczona aksamitem, takaż bransoletka, klamra do paska, grzebień z ławką aksamitną i guziki do rękawów, składają cały garnitur. Uważaliśmy też łańcuch do zegarka, złożony z ogniw aksamitnych. Robią takie biżuterye w różnych kolorach, najładniejsze jednak czarne.

Opis deseni do haftu.

Nr 1 i 2gi, Narożniki do chustek od nosa. —Nr 3, Deseń na wstawkę. — Nr 4, Deseń do wyszycia sutaszem albo ściegiem łańcuszkowym.— Nr 5 i 6, Mankiet i kołnierzyk haftowany atłaskiem.—Nr 7, Połowa mankieta. — Nr 8, Połowa kołnierzyka.— Nr. 9, Deseń na wstawkę.—Nr 10, Alfabet do znaczenia bielizny. — Nr 11, Wzór rękawka półbatystowego. Mankiet robi się z dubeltowego materyału, obszywa naokoło wązką falbanką i zapina się na boku ręki od strony łokcia.—Nr 12, Wzór kołnierzyka marynarskiego z cienkiéj weby.—Nr 13, Kaftanik czarny jedwabny pikowany cały w kratkę na wacie. Naokoło obszywa się puszkiem łabędzim albo czarném futerkiem. — Nr 14, Staniczek jedwabny albo aksamitny do białéj bluzki.—Nr 15, Rękawek z mankietem płóciennym, odpowiedni do kołnierzyka marynarskiego.—Nr 16, Wzór kołnierzyka.—Nr 17, Kołnierzyk stojący z wykładanemi rożkami, haftowany czarną bawełną.—Nr 18, Deseń na wstawkę. — Nr 19, Narożnik do chustki od nosa.—Nr. 20 i 21, Litera R. i B. do znaczenia poszewek.—Nr 22 i 23, Figury w kaftaniku greckim, dochodzącym tylko do stanu. Pod spód biała bluzka — pół-batystowa albo czarna tybetowa.—Nr 24 i 25, Figury w kaftaniczku pocztyliońskim z karczkiem fałdowanym.

Opis formy kaftaniczków, rotondy, Gabryeli i kamizelki dla lalki, oraz fartuszka i napierśnika dziecinnego.

Nr 1, Kołnierzyk dla lalki, haftowany ściegiem przewłóczonym czarną bawełną i mankiet odpowiedni. —Nr 2, połowa rękawa do kaftaniczka dla lalki. — Nr 3, Połowa rotondy wyszyta sutaszem, również dla lalki.—Nr 4, Plecy do kaftaniczka. — Nr 5, Przednia część kaftanika.—Nr 6, Boczek. — Nr 7 i 8, Całość lalek. — Nr 9, Przednia część kaftanika innym krojem.—Nr 10, Połowa pleców. — Nr 11, Bok.—Nr 12 i 13, Rękaw. —Nr 14, Przód do kamizelki dla lalki.—Nr 15, Połowa pleców.— Nr 16, Napierśnik dla dziecka z białéj piki. — Nr 17. Część boczna *Gabryeli* dla lalki.—Nr 18, Połowa przedniéj części.—Nr 19, Połowa pleców z boku zapinana na guziki.—Nr 20, Naramka.—Nr 21, Całość sukni *Gabryeli*. Pod spód kładzie się blnzka biała muszlinowa. — Nr 22, Połowa pleców do fartnszka dziecinnego z białego żaknotu. — Nr 23, Napierśnik do tegoż fartuszka może być gładki albo uszyty cały w zakładki. —Nr 24, Połowa przedniéj części fartuszka przymarszcza się do napier-

śnika. — Nr 25, Połowa rękawa przymarszcza się do pachy i koło ręki do haftowanéj falbanki. — Nr 26, Boczek do napierśnika. Między boczkiem a napierśnikiem daje się wypustka i wąziuchna na dwa palce haftowana falbanka. — Nr 27, Forma kołnierzyka płóciennego dla dorosłéj osoby. W środek wszywają się trzy rzędy sznurków, albo tylko obstębnowywa się w koło.

DONIESIENIA.

NAJTAŃSZY

LEKARZ DOMOWY

wraz

Z PRZEPISEM URZĄDZENIA APTEKI DOMOWÉJ

Dra Hufelanda.

Cena złp. 1 gr. 10.

Powyższe dziełko nabyć można w Księgarni i Składzie nut muzycznych J. Kaufmanna, przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 71, wprost Resursy Obywatelskiéj.

Kantor stręczeń guwernerów, guwernantek i bon, utrzymywany przez panią *Helenę Nowolecką* przy ulicy Krakowskie Przedmieście wprost Kościoła księży Bernadynów, polecamy osobom interesowanym, z tem szczerem przekonaniem, że wszelkie zgłoszenia się do niego, o ile to jest w ludzkiej mocy, z zadowolnieniem i pożytkiem przez niego załatwione zostaną. Obecnie kantor rozwinął znaczne stosunki, i postawił się w możności zadosyć uczynienia wszelkim wymaganiom.

Nakładem Sztycharni nut *A. Dzwonkowskiego* i *Spółki*, ulica Miodowa Nr. 482 (nowy 4), wyszła Fantazya charakterystyczna na fortepian *J. Sosnkowskiego*, p. t. **Dumanie**. Cena złp. 3. Dwanaście Dzieł poprzednio skomponowanych przez tegoż Autora, znajduje się na składzie w Księgarni tejże firmy.

BAJKI I POWIASTKI

DLA MŁODZIEŻY WIEJSKIEJ,

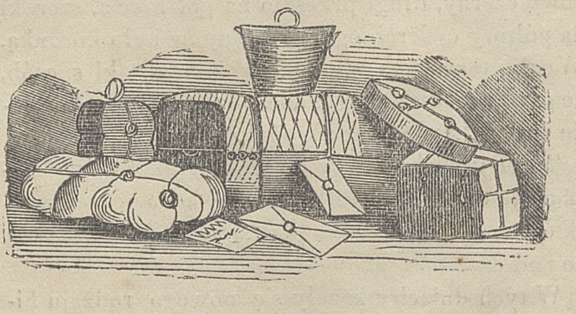
napisał

Adam Wiazulicz Matkowski.

(Dochód przeznaczony na uposażenie Szkółki Parafialnéj przy kościele katolickim na Ukrainie).

Cena złp. 2.

Powyższe dziełko otrzymała na Skład główny Księgarnia i Skład nut *Józefa Kaufmana,* przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 71 (442).



Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołączają się desenie do haftu, oraz formy kaftaniczków, rotondy, Gabryeli i kamizelki dla lalki, oraz fartuszka i napierśnika dziecinnego.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

Warszawa dnia 23 Stycznia 1864 roku.

JAN HALIFAX,

POWIEŚĆ M^{ss} MULLOCH,

SPOLSZCZONA Z ANGIELSKIEGO

PRZEZ

Sewerynę Pruszakową.

(Dalszy ciąg.)

— Nie dziw się temu panno Marek. Janek bardzo był chory, dotąd jeszcze nie przeszło niebezpieczeństwo; lękam się, czy nie umrze!

Wlepiłem w nią badawcze oko, śledząc jakie wrażenie sprawią słowa moje. Trafiły prosto do serca. Zadrżała; zbladła jak trup.

— Chory, odrzekła cicho, i nikt mi nie powiedział.

— Cóż to mogło panią obchodzić, zawołałem surowo. Ja co innego! On dla mnie wszystkiem na świecie, jeśli umrze, cóż będzie ze mną!

I wybuchnąłem gorzkiemi wyrzutami, w niéj bowiem widziałem główną przyczynę złego.

Przebacz mi Urszulo! byłem niesprawiedliwy, okrutny, a tyś była tak słodka, tak anielska!

Powstała, zbliżyła się, ujęła mnie za rękę. Głos jéj drżał, ręka zimna była jak lód.

— Nie rozpaczaj pan rzekła: on młody, a Bóg tak miłosierny!

Nie mogła mówić dłużéj; upadła na krzesło wzruszona. Byłaby chciała ukryć się przed ludzkim wzrokiem, lecz ja nielitościwie wlepiłem w nią oczy, jak wąż w swoję ofiarę. Drżała jak biedna ptaszyna, trzepocząca skrzydełkami w pośród burzy.

Wstała nakoniec, i postąpiła ku drzwiom.

— Zawołam pani Jessop, rzekła, może da panu jaką radę.

— Nie, ona nic mi nie poradzi. Zostań pani.

— Możeby przyzwać doktora Jessop.

— Potrzeba tylko jednéj rzeczy, a téj mieć nie możemy. U niego nie ciało cierpi, ale dusza. O! panno Marek! zawołałem patrząc na nią błagalnie, czy nie widzisz, z czego brat mój umiera.

Zadrżała widocznie.

— O tak! ty wiész! serce ci to mówi, nie wątpię! On umrze! chyba, że ty... ale nie śmiem, nie mam prawa dokończyć.

— Zrozumiała mnie. Żywy rumieniec oblał jéj twarz i czoło: plamy nawet purpurowe wystąpiły na jéj szyję i białe ręce. Spojrzała mi w oczy, jakby chciała wyczytać cóś na dnie myśli mojéj.

Milczeliśmy oboje.

— Jakto, rzekłem, nie prześlesz mu pani, choćby słówka, jednego słówka umierającemu przyjacielowi?

Nic nie odpowiedziała na to.

— Może i lepiéj, zawołałem w rozpaczy, niechże i tak będzie. Niech umiera i powróci do Boga, który go stworzył, który mu dał zbyt szlachetne i kochające serce, aby nie pękło w starym samolubnym i zimnym świecie!

Wyszedłem, wyrzekłszy te słowa.

Przez kilka godzin byłem jak odurzony. Sam nie umiałem sobie zdać sprawy, czy źle uczyniłem, czy dobrze. Idąc za piérwszym popędem, pewien byłem, że spełniam wolę Opatrzności. Całą ufność położyłem w Bogu!

Chciałem koniecznie przyjść do siebie, przed powrotem do pokoju chorego, gdzie nikt nie wchodził oprócz mnie i Joanny.

— Otworzyła mi drzwi pomaleńku.

— Cicho panie Fineas, rzekła, zdaje mi się, że widzę niejaką zmianę.

— Zmianę! straszne słowo! przystąpiłem do łóżka chwiejącym krokiem.

Tak, zmiana nastąpiła; ale dzięki Bogu nie taka, jakiéj się lękałem.

Janek siedział na łóżku. Oko jego połyskiwało życiem i nadzieją.

— Fineas, rzekł, ty zdajesz się zmęczony, połóż się spać.

— Głos był czysty i dźwięczny, od kilku tygodni nie słyszałem takiego. Padłem na łóżko. i płakałem rzewnemi łzami.

— Nie martw się, mój drogi, rzekł: jutro Bóg da, będę lepiéj.

Przejęty radością, nie pojmowałem tak cudownéj przemiany.

— Rozśmiejesz się, gdy ci powiem, od czego jestem zdrowszy, rzekł Janek. Miałem oto sen.

— O nie! ja się nie śmieję z tego. We śnie, czy na jawie Bóg oświeca nasz umysł.

— Sen to był tak szczególny, wrażenie po nim jeszcze mi pozostało. Czy uwierzyszFineas, widziałem ją tu właśnie, gdzie ty siedzisz.

— Kogo? ją!

— Urszulę.

Z jakąż słodyczą nazwał ją po raz piérwszy po imieniu!

— Tak ona tu była, ciągnął daléj; mówiła do mnie, zapewniała, iż wié że ją kocham.. błagała, abym nie umierał, abym się nie poddawał chorobie, lecz żył spełniając wolę nieba.

Słuchałem zdumiony, te słowa wyczytałem w oku Urszuli, owego pamiętnego wieczoru, doktora Jessop, kiedy żegnała Janka. Zapytałem, czy mu się nic więcéj nie śniło?

— Reszta snu nie bardzo jasna. Byłem niby to na dolinie Enderli; szedłem w ślad za nią, lecz nie wiem, czym ją dogonił... To tylko wiem, że posłucham jéj rady. Jutro wstanę, będę walczył z chorobą, i kto wie może ją pokonam.

Spał przez całą noc snem spokojnym, jak dziecie; nazajutrz gdym wszedł do pokoju, zastałem go już ubranego. Wyglądał jak szkielet, ale nadzieja połyskiwała w jego oku. Mój ojciec sam uważał to, kiedy Janek wszedł do sali jadalnéj oparty na ramieniu Joanny. Biedna Joanna! jak dumną była z tego!

— Wstałeś więc, mój chłopcze, rzekł ojciec, spodziewam się, że niedługo będziesz zdrów.

— I lepszy jak dawniéj, dodał Janek.

— Lepszy czy gorszy, mniejsza oto. W każdym razie, nie możemy obejść się już bez ciebie. Fineas nie bierz mi okularów.

I ojciec począł przeglądać gazetę z roztargnieniem.

Dawno już nie jedliśmy obiadu tak wesoło. Po południu ojciec został w domu, co się nie często zdarzało; zapalił fajkę i wyszedł przejść się po ogrodzie. Posadziłem Janka na sofie pod otwartém oknem, otoczyłem go w koło poduszkami. Czytałem mu na głos, kiedy Joanna ukazała się we drzwiach.

— Panie Halifax, rzekła, jakaś kobieta chce się widzieć z panem.

Janek zadrżał, zapadłe jego policzki, zapłonęły ogniem, jak gdyby na świecie jedna tylko była kobiéta.

Była to pani Jessop.

Oczy jéj zaszły łzami na widok bladego i wychudłego młodziana, który stał przed nią.

— Tyś bardzo był słaby, moje dziecię, przebacz, że cię tak nazywam, alem ja stara, to mi wolno, siadajże sobie wygodnie.

Posadziła go na sofie, usiadła sama przy mnie.

— Nie rozumiem, rzekła, czemu nie przyzwaliście męża mego! Jakżeś dawno chory?

— O! jam już zdrów, od jutra zabieram się do pracy, wszak prawda Fineas?

I patrzał na mnie, jakby prosząc, abym potwierdził jego słowa.

Odrzekłem, iż zdrowszy w istocie.

— Ale powinieneś się bardzo pielęgnować, dodała.

— Będziemy nad tém czuwali, rzekłem. Zycie jego bardzo nam drogie.

Mówiłem może zbyt żywo. Poczciwa pani Jessop, łagodną odpowiedzią dała dowód, że mnie rozumie, i przebacza.

— Wierzę temu, odparła, sądzę, że pan Halifax nie wątpi o życzliwości tych wszystkich, którzy go bliżéj znają.

Mówiąc to, wzięła Janka za rękę.

— Staraj się pan wyzdrowiéć, jak najprędzéj Mąż mój przyjdzie tu jutro. Co do Urszuli, przyséła to panu.

I wydobyła z kieszeni, maleńki liścik podpisany: do pana Halifax.

Janek wziął pismo, palce jego ścisnęły się konwulsyjnie.

— Do mnie, o! jakże ona dobra!

Ręka jego drżała, jak liść, nie mógł otworzyć listu.

— Tak, rzekła do mnie pani Jessop, ona umie być wdzięczną; serce jéj nie zapomina tych, którzy dzielili z nią chwile boleści.

Milczałem; pani Jessop, nie wiedziała, co mówić daléj, zdjęła rękawiczkę, i poniosła rękę do oczu.

— Czyś przeczytał list, panie Halifax, zapytała po chwili.

Janek nie odrzekł nic.

Powtórzę jéj ustnie twą odpowiedź, gdyż wiem, co list zawiera.

List ten obejmował te krótkie i proste wyrazy.

Mój dobry przyjacielu.

Wczoraj dopiéro dowiedziałam się, żeś był chory. Nie zapomnę nigdy, coś uczynił dla biednego ojca mego. Odwiedzę cię, jeśli na to pozwolisz.

Urszula Marek.

W trzydzieści lat potém, widziałem jeszcze ten liścik z żółkły od starości w pugilaresie Janka.

— Cóż mam więc powiedziéć mojéj drogiéj dzieweczce!

— Powiedz jéj pani, niech przyjdzie, rzekł ledwie dosłyszanym głosem.

I odwrócił głowę, poglądając w okno; dwie wielkie łzy zabłysnęły mu w oczach.

Pani Jessop opuściła nas. Czekaliśmy godzinę. Janek co chwila przymrużał powieki, a potém patrzał w błękitne niebo, jaśniejące nad drzewami opactwa. Niekiedy też spoglądał na list, który ciągle trzymał w ręku.

Ojciec powrócił z przechadzki, siadł w krześle i zabierał się do drzymania!

Urszula przybyła nakoniec, świeża jak kwiat, ożywiona jeszcze ruchem i powietrzem wieczorem. Zatrzymała się chwilę u drzwi sali. Był to żywy obraz młodości i niewinności. Nie zarumieniła się wcale; bo czegóżby miała się rumienić? Czyniła to, co jéj nakazywał Bóg i głos własnego serca!

Janek postąpił ku niéj kilka kroków. Scisnęli się za ręce w milczeniu.

Za nadto był słaby, aby mógł udawać. Patrząc na niego, przekonała się, żem mówił szczerą prawdę. Spuściła oczy nieśmiało. Zrozumiałem w tedy, jak się wszystko zakończy.

Głos naszéj poczciwéj Joanny, odezwał się nagle:

Panie Tletcher, wołała: żona doktora czeka pana w ogrodzie; powiada, że jéj agrest o połowę mniejszy od naszego.

Ojciec obudził się, potarł oczy; spostrzegłszy młodą osobę w pokoju, potarł je powtórnie i spoglądał zdziwionym wzrokiem.

Janek zaprowadził Urszulę do starca.

— Panie Tletcher rzekł, oto panna Marek, moja dobra przyjaciółka, która dowiedziawszy się, żem słaby chciała...

Tu zabrakło mu głosu; Urszula dodała spuszczając oczy w ziemię.

— Jestem sierota, on był tak dobry dla ojca mego.

Ojciec skinął lekko głową, poprawił okulary, i patrzał przenikliwie na panienkę, potém skinął znów głową, z wyrazem zadowolenia. Oko jego łagodniało coraz bardziéj, w miarę jak patrzał na to młode oblicze, pełne godności i niewinnéj prostoty.

— Skoro pani sprzyjasz Jankowi, rzekł, miłym jesteś gościem w moim domu. Proszę siadać.

I podając jéj rękę, posadził ją w swém własném krześle.

Widzę ją jeszcze, tak jak dziś, w czarnym jedwabnym płaszczyku, okrągłym kapeluszu z piórami.

Ojciec zaczynał się pomału domyślać o co idzie.

— Czy pani zostaniesz na herbacie, zagadnął z uprzejmym uśmiechem.

W godzinkę potém nasz salon przedstawiał obraz dziwnie ożywiony i niespodziewany. Obsiedliśmy wielki stół z herbatą: pani Jessop rozmawiała z ojcem, Janek patrzał w milczeniu na Urszulę, ja zapytywałem sam siebie, czy to sen, czy też istotna rzeczywistość?

Po herbacie przybył doktór Jessop, przyniósł ojcu kilka doniczek hijacyntów, które mu oddawna obiecał. Urszula, ustawiła je na stoliku i usiadła przy nich pod oknem.

Janek siadł przy niéj, długo milczeli oboje, ostatnie promienie zachodzącego słońca otoczyły ich głowę złotą aureolą.

— Dziś pełnia, rzekła panna Marek, ukazując księżyc, wysuwający się z po za obłoków.

— Doprawdy? odrzekł Janek, więc ja chorowałem cały miesiąc; pamiętam, widziałem go za drzewami owego wieczoru.

Nie dokończył, ona też nie spytała, o jakim chciał mówić wieczorze.

— Pan zapewnie nie długo będzie mógł wychodzić.

Norton-Bury, śliczne miasteczko.

— Czy je pani opuszczasz, zapytał.

— O jeszcze nie... sama nie wiem! może wcale ztąd nie wyjadę. Jestem zupełnie wolna, a ponieważ zerwałam z krewnemi, myślę mieszkać ciągle z panią Jessop.

— Zapewne, odparł Janek obojętnie.

Spojrzeli na siebie, w milczeniu.

— Mam nadzieję, rzekła Urszula, i zatrzymała się, jakby przerażona własnym głosem.

— Jaką masz pani nadzieję?

— Że niedługo wrócisz pan do zdrowia.

— Dziękuję pani. I ja spodziewam się tego. Bóg sam wié, ile potrzeba mi siły! i westchnął.

— Spełnisz pan zadanie swoje na ziemi, nie obawiaj się!

— Ja się też niczego nie obawiam, poniosę mój ciężar za drugiemi, każdy ma swój krzyż do dzwigania.

— O prawda!

Mrok tymczasem coraz bardziéj zapadał.

— Mam zamiar opuścić Norton-Bury, jak tylko wyzdrowieję, i popłynąć daleko.

— Gdzie?

— Do Ameryki. To kraj najwłaściwszy dla młodego człowieka, bez majątku, bez rodziny, którego całém bogactwem dwie ręce.

— Masz pan słuszność, odrzekła cicho.

— Szczęśliwy jestem, że i pani tak myśli, rzekł zimno, w każdym razie muszę opuścić Angliją, mam do tego powody.

— Jakie?

— To pytanie zdziwiło Janka. Nie odpowiadał wprost na nie.

— Jeżeli pani chcesz mogę je wypowiedzieć, gdybym nie wrócił, pragnę. abyś wiedziała, że mnie nie wiodły ani młodzieńcze złudzenia, ani też chęć odmiany.

Zatrzymał się, jakby oczekiwał na odpowiedź. Urszula milczała.

— Uciekam, bo grozi mi wielkie nieszczęście mówił daléj; a dopóki tu będę, nie mogę pokonać ani schronić się przed niém. Nie chciałbym uledz, wolę spełnić zadanie moje na świecie, jakie mi Bóg przeznaczył. Żaden człowiek nie ma prawa powiedzieć Stwórcy swemu: brzemię życia mego zbyt ciężkie... Wszak i pani tak samo myślisz?

— Tak jest.

— Wszakże mam słuszność, jeśli chcę ukazać się silnym w obec nieuchronnego nieszczęścia.

— A czy wistocie nieuchronne?

Przestań pani zawołał Janek rozpaczliwym głosem. Nie badaj mnie... pani sądzić nie możesz.., dosyć na tém, że oddalić się muszę. Gdybym został, byłbym nikczemnikiem w własnych oczach, niegodnym twéj... Oh! przebacz, nie mam prawa tak mówić, abyś mnie pani nazwała przyjacielem chciałbym być godzien twéj życzliwéj pamięci, bo... bo...

— Zostań pan!

Słowa te wyszeptała niewyraźnie, lecz Janek je dosłyszał. Zrozumieli się wzajem, cokolwiek świat mógł powiedzieć, równi byli oboje w obec Nieba.

Kiedy Joanna wniosła świece, powstali oboje. Janek wziął ją za rękę, i poprowadził na drugą stronę sali, do ojca. Oko jego jaśniało niewysłowioném szczęściem.

— Cóż to jest, spytał ojciec, podnosząc w górę okulary.

Jesteśmy sieroty, bez rodziców i krewnych. Pobłogosław ją pan, bo przyrzekła być moją żoną.

I starzec pobłogosławił ją ze łzami.

XIX.

— Przykro mi, że cię wyprowadzam z domu na taką wilgoć rzekł, Janek, ale pragnę koniecznie żebyś mi towarzyszył.

Janek miał w rzeczy samej, przykry obowiązek do spełnienia. Wybierał się oznajmić panu Brithwood, opiekunowi Urszuli, że mu przyrzekła rękę, jemu, Janowi Halifax, garbarzowi. Postanowił dopełnić téj formalności, nazajutrz po urodzinach swoich, kiedy skończył lat 21, w dniu 19 Czerwca r. 1801. Tydzień już upłynął, jak Urszula przyrzekła mu rękę.

Przyszliśmy do bramy, w Mythe-House; Janek zatrzymał się, poczém pociągnął za sznurek śmiałą ręką.

— Czy pamiętasz ostatnią naszą przechadzkę w to miejsce? zapytałem.

— O tak dobrze pamiętam.

Rysy Janka, przed chwilą rozjaśnione szczęściem przybrały poważny wyraz. Zgadywał on, jakie przyjęcie czeka go w tym domu: ta myśl niepokoiła go cokolwiek.

Służący otworzył bramę, zapytał nas o nazwisko;

— Pan Brithwood bardzo zajęty; rzekł, możeby panowie przyszli jutro.

— Przykro mi, że zabieram czas panu Brithwood, ale muszę go widzieć koniecznie.

I weszliśmy do sali jadalnéj, gdzieśmy zasiedli, czekając na gospodarza domu.

Zniecierpliwiony Janek, zadzwonił na służącego.

— Czy pan wié, że jesteśmy tu? zapytał.

— Uwiadomiłem go o tém, rzekł z szyderczym uśmiechem,

— Kiedyż będę mógł z nim się widzieć?

— Pan mi rozkazał, żebym mu powtórzył interes pański.

— Powiedz twemu panu, rzekł Janek, że potrzebuję mówić z nim osobiście. Idzie tu bowiem o rzecz wielkiéj wagi, i inaczéj nie przychodziłbym sam.

— Dobrze panie.

Służący w téjże chwili powrócił, z oznajmieniem, że pan Brithwood czeka nas w sali sądowéj. Przeszliśmy znów przez dziedziniec. Dwie panie wsiadały właśnie do powozu; jedna z nich, ukłoniła się uprzejmie Jankowi.

Weszliśmy do sali w któréj pan Brithwood wymierzał sprawiedliwość. W przedpokoju stał młody strzelec, okuty w kajdany, znać ujęty ze strzelbą na cudzym gruncie, i kobieta zapłakana z niemowlęciem na ręku.

Pan Brithwood siedział przed wielkim biurem, i dyktował wyrok sekretarzowi.

Janek przeszedł całą salę.

— Panie Brithwood! rzekł, z zimnym pokłonem.

— A to pan Halifax, witam pana.

(d. c. n.)
